

**Wielka  
podróż psim  
zaprzęgiem**

# **Knud Rasmussen**

**Z duńskiego przełożyła  
Agata Lubowicka**

**M A R G I N E S Y**

Książka ukazała się dzięki dofinansowaniu Danish Arts Foundation



*Den store slæderejse*

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Lubowicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2022



Knud Rasmussen, dowódca V Ekspedycji Thule, urodził się w 1879 roku i od młodych lat uczestniczył w wyprawach arktycznych, z których przywiózł bogate materiały etnograficzne i folklorystyczne dotyczące ludności eskimoskiej zamieszkującej rozległy obszar od Grenlandii, przez północne wybrzeże Ameryki aż po Syberię.

## Do duńskiej młodzieży

Stara eskimoska\* legenda opowiada o dwóch mężczyznach, którzy postanowili objechać cały świat.

Żyli pełnią życia, pragnęli przygody i żaden cel nie wydał im się zbyt odległy. Byli tak młodzi, że dopiero wzięli sobie

\* Obecnie nie używa się terminu „Eskimos”, uznanego za pejoratywny przez rdzenną ludność zamieszkującą Grenlandię oraz tereny arktycznej Kanady i Stanów Zjednoczonych; zamiast tego stosuje się termin po grenlandzku zapisywany jako „Inuk” (l. poj.) i „Inuit” (l. mn.), oznaczający po prostu „ludzi”. W swoich książkach Knud Rasmussen konsekwentnie pisał o „Eskimosach”, gdy mowa była o społecznościach inuickich żyjących w sposób tradycyjny – zarówno tych z Grenlandii (region północny i wschodni), jak i tych z północnych krańców kontynentu amerykańskiego. Mieszkańców skolonizowanej w XVIII wieku przez Duńczyków części Grenlandii Zachodniej polarnik konsekwentnie zwał „Grenlandczykami”. W *Wielkiej podróży psim zaprzęgiem* termin „Grenlandczycy” stosowany jest także niekiedy w odniesieniu do towarzyszących Rasmussenowi łowców z Grenlandii Północnej (regionu Thule), zamiennie z określeniem „Kap Yorkowie”. Ze względu na to, że książka Rasmussena jest produktem i świadectwem czasów, w których powstała i ówczesnie panujących poglądów, tłumaczka postanowiła zachować jej oryginalne nazewnictwo (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

żony. Wyruszyli w drogę wzdłuż wybrzeży, podzieliwszy się w taki sposób, że grupa jednego poszła w jedną stronę, a grupa drugiego w przeciwną i miały się ze sobą spotkać dopiero po okrążeniu ziemi.

Podróż zdawała się nie mieć końca. Latem płynęli skórzanymi łodziami, zimą przemieszczali się saniami. Mijały lata, urodziły im się dzieci, ale oni nie przerywali podróży, nie chcieli bowiem zrezygnować z obranego celu. Na koniec zestarzelili się, a ich dzieciom urodziły się dzieci.

Opowiada się, że obydwaj mężczyźni zabrali ze sobą w drogę duże, piękne czerpaki z rogów wołu piżmowego. Ponieważ podróżowali przez tak długi czas i tak często nabierali w nie wody z jezior i strumieni, na koniec z naczyń ostały się jedynie uchwyty.

Pewnego dnia, gdy każdej z grup udało się pokonać swoją połowę drogi dookoła ziemi, wreszcie się spotkały. Mężczyźni byli już starcami, których musiały prowadzić wnuczęta.

– Świat jest wielki! – stwierdzili. – Po drodze zestarzeliliśmy się. Żyliśmy jednak pełnią życia i dążąc do celu, zdobyliśmy wiedzę i mądrość dla przyszłych pokoleń.

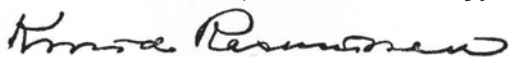
Przejmujące przesłanie tej starej eskimoskiej legendy, że należy pozostać wiernym swoim młodzieńczym ideałom, wywarło na mnie ogromne wrażenie, gdy jako jeszcze chłopiec usłyszałem ją po raz pierwszy.

Ujął mnie ten niezwykle silny i piękny obraz woli ludzkiej, ponieważ już wtedy nosiłem w sobie wielkie i sekretne marze-

nie, aby wyruszyć kiedyś w daleką podróż na północ od wszystkich ziem i poznać mieszkających tam Eskimosów. Udało mi się je spełnić podczas V Ekspedycji Thule wiodącej przez północne krańce Ameryki z Grenlandii nad Ocean Spokojny. Napisałem o tej wyprawie wiele popularnych i naukowych prac, ale w *Wielkiej podróży psim zaprzęgiem* pragnąłem przekazać jej skrócony opis, najważniejsze fakty dotyczące odwiedzanych miejsc i poznanych ludzi.

Doceniając znaczenie, jakie miało dla mnie – dorosłego mężczyzny – osiągnięcie celu, który wyznaczyłem sobie jako młodzieniec, dedykuję tę książkę duńskiej młodzieży.

Lindenow Fjord, 10 września 1932

A handwritten signature in black ink, reading "Knud Rasmussen". The signature is written in a cursive, flowing style with a prominent initial 'K'.

## Wstęp

Jest wczesny poranek na szczycie stromego Przylądka Wschodniego\*, najdalej wysuniętej na wschód części Syberii.

Wierzchołki przysypał właśnie pierwszy śnieg, a moje myśli przenika pierwszy chłodny powiew jesieni. Powietrze jest ostre i przejrzyste, nawet najmniejsza bryza nie marszczy wód Cieśniny Beringa, gdzie pak lodowy leniwie przesuwa się z prądem na północ.

Krajobraz tchnie spokojnym majestatem; daleko na horyzoncie wśród słonecznej mgiełki dojrzeć można Dużą Diomedę\*\*, stanowiącą granicę między Ameryką i Azją.

Z miejsca, w którym stoję, wodzę wzrokiem od jednego kontynentu do drugiego, bowiem z tyłu za Dużą Diomedą, niczym błękitny kłęb mgły, majaczą kontury drugiej wyspy – należącej do Alaski Małej Diomedy.

\* Obecnie Przylądek Dieżniowa.

\*\* Obecnie Wyspa Ratmanowa.

Wszystko, co przed sobą widzę, jest skąpane w silnym blasku słonecznym i morskim i ostro kontrastuje z tym, co znajduje się za moimi plecami. A tam rozciąga się płaska, bagnista tundra, która zdaje się pogrążona w martwej monotonii, choć w rzeczywistości to prawdziwe równinne królestwo, przepelnione najróżniejszymi dźwiękami i tętniące bogatym życiem zwierzęcym. Ta niezakłócona wzniesieniami nizina obejmuje rzeki i jeziora, sięgając aż po miejsca o obco brzmiących nazwach – do delty rzeki Leny i jeszcze dalej, za przylądek Czeluskin, do obszarów nie tak bardzo oddalonych od mojej własnej ojczyzny.

U stóp góry, na którą się wspiałem, dostrzegam gromadkę czukockich kobiet w futrzanych strojach o osobliwym kroju. Na plecach niosą worki z reniferowej skóry, do których wkładają zerwane zioła i jagody. Jako detale kobiety wpasowują się w te bezkresne przestrzenie w niezwykle malowniczy sposób i nie mogę oderwać od nich wzroku do momentu, aż znikają za zielonymi zboczami doliny.

Na wąskim półwyspie z pakiem lodowym po jednej stronie i gładkimi wodami laguny po drugiej leży wioska Uelen. Dopiero teraz przebudza się ze snu i w pokrytych skórą morsów kopulastych namiotach jedno za drugim zaczynają płonąć ogniska pod gotującą się strawą.

W niewielkiej odległości od nadbrzeżnej osady na zaokrąglonym grzbiecie wzgórza zaznaczają się wyraźnie sylwetki udomowionych reniferów, które spokojnie przezuwają



mech, podczas gdy jokujący\* pasterze próbują je zapędzić na nowe pastwiska.

Dla tych wszystkich ludzi rozpoczął się zwykły dzień będący częścią ich codzienności – dla mnie natomiast jest to przeżycie, w które trudno mi uwierzyć. Ten krajobraz i ci ludzie oznaczają bowiem, że znalazłem się na Syberii, na zachód od ostatniego plemienia eskimoskiego, i że moja ekspedycja została właśnie doprowadzona do końca.

Wysoka góra, na której stoję, i otaczające mnie mroźne powietrze pozwalają mi spojrzeć daleko wstecz i widzę w białym śniegu ślad naszych sań wiodący skrajem kręgu ziemskiego przez najdalsze północne ziemie zamieszkane przez ludzi.

Stają mi przed oczami tysiące małych osiedli, które nadały tej podróży treść i przepełnia mnie wielka radość, bowiem stanęliśmy twarzą w twarz z przygodą, na którą składają się barwne przeżycia wśród najdziwniejszego ludu na świecie!

Powoli torowaliśmy sobie drogę po nieudeptanych ścieżkach, a nasza wiedza rosła w miarę, jak docieraliśmy do nowych miejsc. Jak długa była cała pokonana przez nas trasa, z wycieczkami odbywanymi w głąb lądu i po skutych lodem morzach, niekiedy w poszukiwaniu zwierzyny, innym razem – ludzi? 20 000 mil angielskich, 5000 mil duńskich, 32 180 km, pół okręgu ziemskiego? To zupełnie nieważne – ponieważ to nie odległości miały dla nas znaczenie!

\* Należący do tradycji saamskiej joik został zapewne użyty przez Rasmusena na zasadzie skojarzeń z bardziej znanym czytelnikowi kontekstem nordyckim.

Pośród radości wywołanej pomyślnym przebiegiem naszej podróży moje myśli instynktownie kierują się ku pewnemu wydarzeniu z Alaski, kiedy ostatniej wiosny wszyscy oczekiwali przybycia dzielnych pilotów z drugiej strony kuli ziemskiej\*.

Z całego serca błogosławię los, który pozwolił mi urodzić się w czasach, gdy wyprawy polarne korzystające z psich zaprzęgów jeszcze nie stały się przeżytkiem.

Nasze bogate przeżycia wywodzą się właśnie z gościnności i ciągłej odmiany, jakich doświadczyliśmy w niezliczonych obozowiskach, a także z nieustannej okazji do nauki podczas tych wielu postojów. Po raz drugi staje mi wyraźnie przed oczami ciągnący się w białym śniegu wąski ślad sań.

Wzbiera też we mnie wdzięczność dla wszystkich naszych cierpliwych i niestrudzonych psów.

Razem znosiliśmy trudy podróży i pomagaliśmy sobie tak, jak tylko potrafia żywe stworzenia, czy to w walce z nieprzejezdnością spiętrzonego lodu, czy też w szaleńczym galopie podczas wycieczek łowieckich, największą radość odczuwając wtedy, gdy ukazywały się nam, głodnym i ponad wszystko spragnionym mięsnej stawy, odległe osiedla nieznanego ludu i dolatywała nęcąca woń!

Właśnie na tych przeżyciach bazuje moja opowieść, w której czerpię z przemożnego bogactwa tych krain i ludzi.

\* Mowa najprawdopodobniej o planach Roalda Amundsena odbycia wiosną 1924 roku podróży powietrznej ze Spitsbergenu do Przylądka Barrowa ponad biegunem północnym. Wyprawa nie doszła do skutku ze względu na niedostarczenie samolotów przez producenta.

Zdaje mi się teraz, jakby wszystkie wydarzenia mojego życia naturalnie się ze sobą łączą. Wdzięczność dla psiego zaprzęgu urasta do podziękowań za moje grenlandzkie dzieciństwo. Sanie stały się dla mnie pierwszą prawdziwą zabawką i dzięki nim udało mi się zrealizować najdonioślejsze zadanie w moim życiu. Urodziłem się z językiem eskimoskim, który inni badacze arktyczni wprawdzie musieli sobie przyswoić, i żyłem wraz z grenlandzkimi łowcami, więc podróże nawet w najtrudniejszych warunkach stanowiły dla mnie zupełnie naturalną formę pracy.

Z tych właśnie względów V Ekspedycja Thule stanowi udaną kontynuację mojego dzieciństwa i młodości.

To naturalne, że chcąc omówić pokrótce wybrane wydarzenia, które zrobiły na mnie największe wrażenie podczas tej długiej podróży, w takim samym stopniu czuję radość z tego, o czym mam opowiedzieć, jak i smutek, że tak wiele trzeba będzie pominąć. Przykro mi szczególnie, że nie mogę uwzględnić relacji moich towarzyszy, z wypraw, którymi oni sami dowodzili.

Prawie półtora roku spędziliśmy w naszej głównej kwaterze na Wyspie Duńczyków\* u północnego wybrzeża Zatoki Hudsona. Stamtąd wyprawialiśmy się do zamieszkałych w okolicy Eskimosów Aivilik i Iglulik, jeździliśmy na wykopaliska odkrywające pozostałości wcześniejszej kultury eskimoskiej, odwieździliśmy także prymitywne plemiona z interioru w Barren

\* Duń. Danske Øen.

Grounds. Podczas drugiego zimowania moi towarzysze kontynuowali pracę zarówno w okolicach naszej kwatery, wśród Eskimosów z interioru, jak i na Ziemi Baffina, podczas gdy ja z dwojgiem Grenlandczyków odbyłem podróż wzdłuż północnych wybrzeży całego kontynentu amerykańskiego, przez Przejście Północno-Zachodnie aż do Morza Beringa. Odwiedziłem wszystkie plemiona eskimoskie zamieszkujące na tej trasie, żywiąc się upolowaną zwierzyną w taki sam sposób, jak Eskimosi. Wszystkie spostrzeżenia, jakie poczyniłem podczas tej wyprawy, stanowią osnowę mojej opowieści.

W tej książce to Eskimos jest bohaterem – opowiada ona o jego historii, codziennym życiu, walce o byt i o duchowość. Tylko po to, by powiązać ze sobą wydarzenia w jedną całość, konieczne będzie także przybliżenie czytelnikowi niektórych szczegółów naszej długiej wyprawy.

Nigdy niesłabnący entuzjazm moich towarzyszy w wysokim stopniu przyczynił się do tego, że byłem w stanie osiągnąć doniosły cel, który sobie wyznaczyłem. W ekspedycji uczestniczyli:

Peter Freuchen, kartograf i przyrodnik,  
Therkel Mathiassen, archeolog i kartograf,  
Kaj Birket-Smith, etnograf i kartograf,  
Helge Bangsted, asystent naukowy,  
Grenlandczyk Jakob Olsen, asystent i tłumacz, oraz  
Peder Pedersen, kapitan statku ekspedycji „Søkongen”.

Oficjalna nazwa wyprawy brzmiała: „V Ekspedycja Thule, duńska ekspedycja etnograficzna do arktycznej Ameryki Północnej 1921–1924”.

Jego Królewska Mość Chrystian X uczynił ekspedycji zaszczyt, obejmując ją swoim patronatem. Komitet doradczy tworzyli: przewodniczący M. Ib Nyeboe, hurtownik Chr. Erichsen, pułkownik J.P. Koch, profesorowie O.B. Bøggild, Adolf Jensen, C.H. Ostenfeld oraz kustosz duńskiego Muzeum Narodowego Thomas Thomsen.

W roku 1910 we współpracy z Peterem Freuchenem założyłem w Grenlandii Północnej faktorię Kap York Thule. Otrzymała taką nazwę, ponieważ była najdalej na północ położoną stałą faktorią na świecie. Ze względu na to, że stanowiła praktyczną i finansową bazę dla moich ekspedycji, wszystkie moje wyprawy nazywane są „ekspedycjami Thule”.

Wielkie znaczenie dla zrealizowania tej wielkiej podróży mieli w końcu Eskimosi polarni towarzyszący nam aż z Thule:

Iggiánguaq („Małe Gardelko”) i jego żona Arnarlúnguag („Mała Kobieta”),

Arquioq i jego żona Arnánguaq,

Nasaĩtordluarsuk zwany „Bosmanem” i jego żona Aqatsaq oraz bardzo wtedy młody Qâvigarssuaq Miteq („Edredon”).

Iggiánguaq zmarł na grypę, jeszcze zanim opuściliśmy południowo-zachodnią Grenlandię, ale wdowa po nim uparła

się, żeby uczestniczyć w ekspedycji i razem z „Edredonem” wyruszyła ze mną w długą podróż przez Przejście Północno-Zachodnie do Alaski. Do jej obowiązków, jak również pozostałych kobiet, należało dbanie o naszą skórzaną odzież, przyrządzanie stawy, czasami także pomoc w zajmowaniu się psami podczas podróży. Mężczyźni natomiast odpowiadali za powożenie zaprzęgami, polowania i budowanie igloo, za każdym razem, gdy robiliśmy dłuższe przystanki.

Arnarulúnguaq jako pierwsza kobieta eskimoska odbyła tak długą podróż i razem z „Edredonem” byli jedynymi Eskimosami, którzy odwiedzili wszystkich swoich pobratymców. Biorąc pod uwagę, jakiego wysiłku wymagała ta wyprawa, doprawdy trudno stwierdzić, kogo bardziej podziwiać: psy czy Eskimosów, bowiem i jedne, i drudzy w świetnej kondycji wytrzymali trzy i pół roku ogromnych trudów. Wiem na pewno, że w tej relacji trudno mi będzie wystarczająco dobitnie podkreślić, jak wiele oni wszyscy znaczyli dla mnie osobiście.

W tej książce zmuszony będę także pominąć wszystkie naukowe rezultaty ekspedycji, w tym zwłaszcza bardziej szczegółowe rozwinięcie naszych teorii o pochodzeniu kultury eskimoskiej. Ponieważ jednak badania nad Eskimosami były jednym z głównych celów tej wyprawy, chciałbym najpierw przedstawić ich krótki zarys dla lepszego zrozumienia naszej pracy.

Eskimosi żyją rozproszeni na rozległym terytorium ciągnącym się od Grenlandii po Syberię, zamieszkując około jednej trzeciej całości arktycznych peryferii. Ich ogólna liczba nie

przekracza 34 000 dusz. Mamy powody przypuszczać, że od czasu, gdy pierwsze plemiona wyruszyły w podróż z obszaru, gdzie pierwotnie wykształciła się ich wyjątkowa kultura, upłynęło od 1500 do 2000 lat.

Kultura Eskimosów kanadyjskich rozwinęła się w dwóch głównych formach: pierwsza wiązała się z życiem w głębi lądu, druga – na wybrzeżu. Pierwotni Eskimosi to plemię wędrowne, które żyło w interiorze i polowało na renifery, nie mając żadnego związku z morzem. Nic w ich tradycji czy używanych narzędziach łowieckich nie wskazuje na to, by kiedykolwiek mieli styczność z polowaniami na ssaki morskie. Okazało się natomiast, że folklor mieszkańców wybrzeży pod wieloma względami jest identyczny z charakterystycznym dla plemion z wnętrza lądu. Nasuwał się naturalny wniosek, że wszyscy Eskimosi pierwotnie byli myśliwymi śródlądowymi i że wielu z nich przeniosło się później na wybrzeża. Ten odłam plemienia zachował swój pierwotny język i mity, dodając do tego nowe elementy wykształcone w wyniku nabytych umiejętności technicznych i na nowo ukształtowanej kultury duchowej po tym, jak osiedli w pobliżu morza.

Aby zaprezentować tę teorię w bardziej przystępny sposób, można stwierdzić, że Eskimosi i Indianie kiedyś dawno temu mieli wspólnych przodków, natomiast różne warunki życia doprowadziły do wytworzenia się różnych kultur. Indianie nabyli swoje cechy szczególne wskutek zamieszkiwania na obszarach leśnych, a Eskimosi swoje – żyjąc na nagich, pozbawionych drzew pustkowiach.

W ten właśnie sposób wśród Eskimosów zamieszkujących interior w okolicach wielkich rzek i jezior północnej Kanady powstała wyjątkowa kultura. Stąd powędrowali później w stronę wybrzeży albo przegnani przez inne wrogo nastawione plemiona, albo podążając za stadami reniferów. Wskutek tego na arktycznych wybrzeżach Kanady pojawiła się pierwsza faza kultury przybrzeżnej, która najprawdopodobniej wykształciła się na obszarze między Zatoką Koronacji i północnym biegunem magnetycznym. Łowcy ruszyli następnie na zachód, docierając do Alaski i Morza Beringa. Nad Morzem Beringa dzięki obfitości ssaków morskich osiągnęli rozkwit jako lud wybrzeża.

Z tych okolic wyruszyła kolejna wędrówka ludów – trudno stwierdzić, z jakiego powodu, ale tym razem prowadziła z zachodu na wschód. W niej upatrujemy wyjaśnienia, skąd się biorą liczne ruiny po stałych zimowych domostwach, odkrywane przez nas wzdłuż całego arktycznego wybrzeża między Grenlandią i Alaską. Tutejsi Eskimosi nie budują bowiem takich domów; wznosił je w stosunkowo późnych czasach lud zwany Tunit. Podobne domy budowali natomiast do niedawna Grenlandczycy, należy zatem przyjąć, że są oni wspomnianymi Tunitami.

Przez cały okres tych wędrówek niektóre plemiona nie opuszczały jednak swoich terytoriów we wnętrzu lądu, dzięki czemu w Barren Grounds udało nam się napotkać potomków pierwotnych Eskimosów.



Ekspedycja wyruszyła z Kopenhagi 17 czerwca 1921 roku. Jej trasa wiodła przez Grenlandię, aby zabrać grenlandzkich uczestników i niezbędne wyposażenie. Statkiem ekspedycji, zbudowanym specjalnie na jej potrzeby, był 100-tonowy szkuner „Søkongen”.

Po przeprawieniu się przez Zatokę Melville’a, osławioną z powodu potężnych zwałów spiętrzonego lodu, 3 sierpnia przybyliśmy do Thule, gdzie zatrudniliśmy naszych grenlandzkich pomocników. W połowie miesiąca popłynęliśmy przez Cieśninę Hudsona, torując sobie drogę przez trudny do przebycia, gęsty pak lodowy, aż do północnego wybrzeża wyspy Southampton, skąd przez liczne wolne od lodu przesmyki dotarliśmy do niezamieszkałej wysepki w okolicach wyspy Vansittart. To miejsce uczyniliśmy naszą główną kwaterą i stąd „Søkongen”, po pozostawieniu na lądzie ładunku ekspedycji, powrócił do Danii.

Kolejny miesiąc spędziliśmy na budowaniu zimowej kwatery, którą nazwaliśmy „Miechem”. Nasze obserwacje wykazały, że miejsce, gdzie rozbiliśmy obóz, znajdowało się na 55°54’ szerokości geograficznej północnej i 85°50’ długości geograficznej zachodniej. Stare mapy tego regionu były jednak do tego stopnia niedokładne, że na samym początku, jeszcze przed poznaniem okolicy, w ogóle nie byliśmy w stanie oznaczyć na nich naszego umiejscowienia.

Małą wysepkę, na której zbudowaliśmy nasz dom, nazwaliśmy Wyspą Duńczyków. Znajdowała się tutaj przyjazna dolina z otwartą na morze plażą i osłaniającymi górami w głębi,

co wyglądało niczym specjalnie wydzielony fragment lądu. Na brzegu natrafiliśmy na świeże ślady niedźwiedzia, a przy nasypie skalnym spotkaliśmy zająca tak oswojonego, że podjęliśmy poważną próbę schwytania go gołymi rękami.

Wspięliśmy się na najwyższą z gór i stąd dostrzegliśmy na niewielkiej równinie samotnego dzikiego rena. Zwierzę zaczęło biec w naszą stronę, nie wykazując najmniejszych oznak strachu. Nareszcie mieliśmy widok na otwarte morze po drugiej stronie wyspy i zobaczyliśmy unoszące się nad wodą czarne, lśniące łby morsów, które przyglądały się nam z zaciekawieniem; wypłynęły właśnie na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu. Nigdy wcześniej w żadnym nowym osiedlu nie spotkałem się z taką gościnnością ze strony zwierząt.

W październiku nadeszła zima; ziemia pokryła się śniegiem, a wąska cieśnina oddzielająca naszą wyspę od Vansittart zamarzała na stałe. Priorytetem stało się dla nas jak najszybsze nawiązanie kontaktu z pobliskimi Eskimosami. W zatoce Gore wody jednak były wciąż otwarte, co uniemożliwiało nam wyruszenie na dalekie wyprawy. Do końca października udało nam się jedynie natrafić na stare kopce z kryjówkami dla myśliwych polujących na renifery za pomocą łuków i strzał. Nie było innego wyjścia – musieliśmy cierpliwie czekać na pojawienie się grubego lodu, co nastąpiło dopiero z nadejściem listopada.

## ZATOKA HUDSONA I BARREN GROUNDS

### Pierwsze spotkanie z ludźmi

Zatrzymałem na chwilę zaprzęg, żeby rozetrzeć zmarznięte policzki, gdy dobiegł mnie odgłos tak niespodziewany, że gwałtownie drgnąłem, a psy ogarnął niepokój. Nie było absolutnie żadnych wątpliwości, że panującą wokół ciszę zakłócił wystrzał! Obejrzałem się na Freuchena i „Bosmana” jadących kawałek drogi za mną. Może to oni dali mi sygnał, żebym zaczekał, bo pojawiły się problemy z saniami? Szybko ich zlokalizowałem: dwa małe punkciki daleko w tyle, poruszające się jednak z przyzwrotną prędkością – z pewnością to nie oni strzelali. Próbując zachować spokój, powoli usiadłem z powrotem na saniach, nie czyniąc żadnych nieprzemyślanych ruchów – wbrew temu, jak wyobrażałem sobie chwilę tuż przed pierwszym spotkaniem z kanadyjskimi Eskimosami.

Trzy–cztery kilometry przede mną jakaś czarna linia przełamывała białą monotonię skutego lodem fiordu. Czyżby była to długa, pozbawiona śniegu skała? Lornetka poszła w ruch! Dopiero teraz dojrzałem szereg psich zaprzęgów, które zatrzymały się, aby nas, przybywających z południa, obserwować.

Jeden człowiek oddzielił się od reszty i zaczął biec przez lód ukośnie do kierunku, w którym podążałem.

Wiedziałem, że stoję przed jedną z najważniejszych chwil w swoim życiu. Właśnie tych ludzi dotyczyła moja podróż i bez względu na to, czy oddawane przez nich co pewien czas wystrzały albo ten mężczyzna biegnący z harpunem w dłoni oznaczały przyjaźń czy wrogość, moja niecierpliwość urosła do tak wielkich rozmiarów, że trudno mi było dotrzymać obietnicy złożonej towarzyskom podróży, iż ten, kto akurat znajdzie się na przodzie, zaczeka na pozostałych, aby to pierwsze spotkanie przeżyć wspólnie.

Bez chwili namysłu podniosłem się i dałem psom sygnał, by ruszyły, pokazując im pędzącego ku mnie mężczyznę. Uznały go natychmiast za biegnącą zwierzynę i z miejsca ruszyły galopem. A gdy w końcu go dopadły, oszalały zupełnie: wszystko, co wiązało się z tym człowiekiem, było dla nich obce – woń, noszony przez niego strój, a także dziwny taniec, jaki wykonywał, aby uniknąć ich dwunastu szeroko rozwartych paszczy.

– Spokój! – wykrzyknąłem i potężnym susem zeskoczyłem z sań, wpadając między psy i obejmując obcego. Na widok tej oznaki przyjaźni sfora natychmiast się wycofała i z wyraźnym zawodem podreptała za sanie.

Niczym błyskawica przemknęło mi przez głowę, że mężczyzna rozumiał każde słowo, jakie do niego wykrzyczałem. Był rostry i dobrze zbudowany, jego twarz i długie włosy pokrywał szron, a w ustach lśniły duże białe zęby – śmiał się, nie mogąc złapać tchu po tak wielkich emocjach.

Moje pierwsze spotkanie z tymi nowymi ludźmi przebiegło zupełnie bez ładu i składu.

Kiedy reszta towarzyszy podjechała bliżej, ruszyliśmy ku wielkiej gromadzie ludzi z uwagą obserwujących nasze serdeczne powitanie.

Mężczyzna miał na imię Papik, czyli „Lotka”, a jego osiedle znajdowało się nad zatoką Lyon. Dużo więcej, póki co, się nie dowiedziałem, ponieważ nauczony doświadczeniem, pragnąłem zatrzymać psy, zanim zbliżymy się zanadto do nieznanym. Wszyscy mężczyźni wyszli nam na spotkanie, przy saniach zostały tylko kobiety i dzieci wygodnie rozłożone na śniegu, zupełnie jakby odpoczywały na trawniku w jakiś piękny letni dzień. Kątem oka dostrzegłem, że wiele kobiet trzyma na kolanach półnagie niemowlęta i karmi je piersią. Słońce padało na ich ogorzałe, uśmiechnięte twarze i nagle trudno było mi pojąć, że panuje dokładnie ta sama pogoda, która zaledwie pół godziny wcześniej zmusiła mnie do rozcierania zmarzniętego nosa.

Byli to Akilinermiuci, ludzie z przeciwległego brzegu wielkiego morza, o których usłyszałem, kiedy jako kilkunastoletni młodzieniec zacząłem interesować się eskimoskimi legendami. Nie mogłem ich spotkać w bardziej malowniczych okolicznościach – cała karawana rozlokowała się pośród lodów: mężczyźni, kobiety i dzieci odziani w fantastyczne stroje wyglądali niczym żywe ilustracje osławionych mieszkańców głębi ładu, znanych z opowieści Grenlandczyków. Każdy skrawek ich ubioru uszyty był ze skóry reniferów o pięknym krótkowłosym



Obozowisko Auy na lodzie nad zatoką Lyon. Igloo buduje się z wielkich bloków wyciętych z zasp śnieżnych. Domy często są ze sobą połączone, tworząc całe osiedle. Białe flagi powiewające nad dachami oznaczają, że mieszkają tam Eskimosi wyznający wiarę chrześcijańską. Płazy odwróconych sań „podkute” są lodem: odpowiednio uformowanym i zamrożonym błotem.

futrze, upolowanych podczas pierwszych jesiennych wypraw łowieckich. Strój kobiet zdobiły wielkie futrzane kaptury, kurtki, wydłużone z przodu i z tyłu, luźno opadały na noszone pod nimi spodnie. Futra mężczyzn były idealnie skrojone do biegu – krótkie z przodu i z długimi ogonami. To wszystko tak bardzo różniło się od mód, z jakimi dotychczas miałem do czynienia, że miałem wrażenie, jakbym się przeniósł w zupełnie inny czas – czas legendarny z naprawdę odległej przeszłości, ale jednocześnie nowy, niosący ze sobą obietnicę poznania niezwykłych ludzi i zwyczajów.

Pośród tego ogromu wrażeń było jednak coś, co natychmiast sprawiło, że poczuliśmy się tak, jakbyśmy się znali od dawna, i nawiązaliśmy ze sobą więź – mianowicie język. Choć już wcześniej zdawałem sobie sprawę, że tutejsi mieszkańcy mówią tym samym językiem, nigdy bym nie przypuszczał, że różnica będzie aż tak niewielka i że od razu się zrozumiemy. Z tego powodu uznano nas za dalekich pobratymców z Ziemi Baffina.

Właśnie rozpoczęli żmudne pakowanie z zamiarem przeniesienia się do osiedli jesiennych w głębi lądu, za zatoką Lyon, ale ponieważ, podobnie jak inni Eskimosi, żyli chwilą, na razie porzucili wszelką myśl o podróży. Jedyna droga, jaką pokonali, prowadziła do piętrzących się w pobliżu kilku większych zasp nadających się do wzniesienia igloo, w których mieliśmy uczcić nasze pierwsze spotkanie.

Kiedy spotykasz nieznaną lud, doznajesz uczucia identycznego z tym, gdy stąpasz po nowej ziemi – czekasz, aż sta-



Sanie ekspedycji obładowane zebranymi eksponatami etnograficznymi: skórzanymi strojami, amuletami, narzędziami i kajakiem. Ekspedycja nabyła te rzeczy za igły, koraliki, śrut i kule oraz inne przedmioty codziennego użytku. Podczas gdy Eskimosi mieszkający na zachodzie dzięki handlowi futrami mają stały kontakt z cywilizacją i często są zamożni, wiele pozostałych plemion eskimoskich prawie zupełnie z białymi ludźmi się nie spotyka.

nie się coś, co wykracza poza codzienność. Nie inaczej było również w tym przypadku. Rzecz tak zwykła, jak zbudowanie igloo, czynność wykonywana przez nas wielokrotnie, wzbudziła nasze ogromne zdumienie: nigdy wcześniej nie widzieliśmy, aby w tak szybkim tempie wzniesiono dom ze śniegu. U Kap Yorków uznaje się to za pracę, do której potrzeba dwóch mężczyzn – pierwszy wycina śnieżne bloki i podaje drugiemu,



który je ustawia. Tutaj natomiast wszystko odbywało się w inny sposób: mężczyzna usuwał nożem śnieg w miejscu według niego nadającym się na dom, po czym wykrajał bloki i bez pomocnika układał tam jeden na drugim. Budowa przebiegała w tak szybkim tempie, że wręcz oniemieliśmy ze zdumienia. W tym czasie jego żona wielką, dziwną szuflą, zaopatrzoną nie tylko w stylisko, lecz także w uchwyt tkwiący na samej łyżce, zaczęła obsypywać śniegiem wznoszący się coraz wyżej mur. Taki sypki śnieg likwiduje wszelkie nieszczelności i zapewnia ciepło mieszkańcom bez względu na panującą na zewnątrz temperaturę.

Zbudowanie trzech dużych igloo zajęło mniej niż trzy kwadransy. Prawie jednocześnie z ukończeniem wycinania ze śniegu legowisk zapalono lampę tranową, która szybko ogrzała wnętrze.

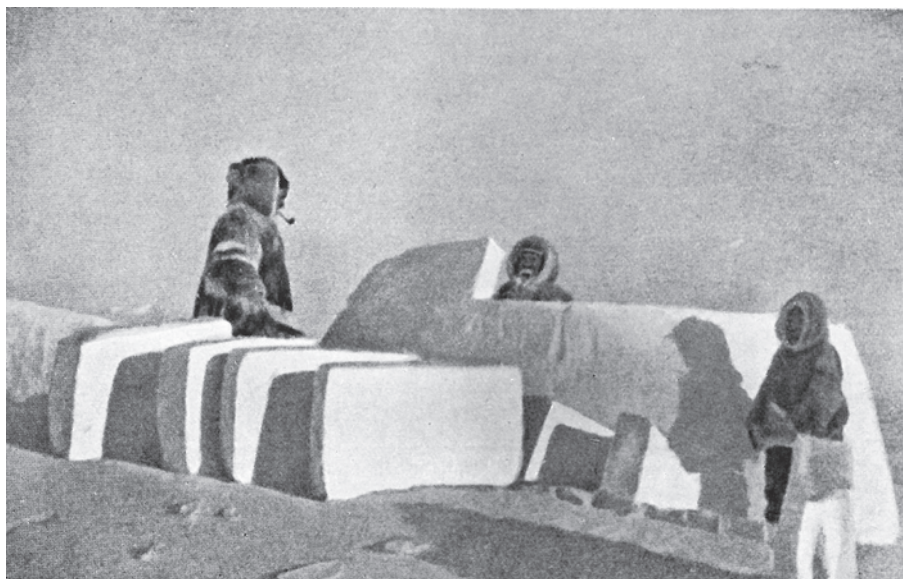
Każdy z nas wprowadził się do innej rodziny, aby uzyskać jak najwięcej informacji od naszych nowych przyjaciół i zaraz po doprowadzeniu odzieży do porządku ułożyliśmy się wszyscy na legowiskach. Nad wielkimi lampami tranowymi zaczęto gotować mięso z renifera, nasi gospodarze mieli także herbatę i mąkę, które kupili u białego człowieka mieszkającego nad zatoką Repulse, niedaleko obozowiska.

Ta wiadomość miała dla nas olbrzymie znaczenie, ponieważ otwierała się przed nami możliwość wysłania wiosną poczty do Danii.

Mój gospodarz o imieniu Pilakavsak był przyjaznym i sympatycznym mężczyzną, a jego żona Hauna krzątała się

wokół, aby mnie jak najlepiej ugościć. Po niedługim czasie podała nam ugotowane mięso renifera i postawiła przed nami parujący imbryk z herbatą.

Podczas posiłku przekazali mi wiele cennych informacji o zaludnieniu tej okolicy. Okazało się, że prawie w każdym kierunku od naszej głównej kwatery znajdowały się osiedla ludzkie i chociaż ich mieszkańcy nie byli zbyt liczni, i tak nas one



Przed rozpoczęciem budowy igloo Eskimosi najpierw szukają zasy z odpowiednio ugniecionym śniegiem. Następnie budownicy stają w miejscu, gdzie chciałby postawić swój dom, i za pomocą specjalnego długiego noża wycina wielkie, regularne bloki śnieżne, z których buduje ściany i półki przeznaczone na legowiska. Gdy igloo jest gotowe, obsypuje się je sybkim śniegiem, by uszczelnić ściany i dzięki temu ocieplić wnętrze

zaciekawili, każde z osobna. Dzięki tej szczęśliwej okoliczności, że mówiliśmy językiem naszych gospodarzy, okazujących nam z tej racji zaufanie, mogliśmy także wypytać ich o kwestie związane z religią. Bardzo szybko uświadomiłem sobie, że ci ludzie, mimo herbaty, mąki i wkraczającej w ich świat kultury naczyń emaliowanych, zachowali pierwotny sposób myślenia i poglądy na życie.

Nagle ukazał się nam zupełnie nieznan, przeogromny obszar obfitujący w nowe wyzwania. Na razie chodziło jednak o to, by jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę i zrobiliśmy to już następnego dnia. Słońce wciąż jeszcze świeciło wysoko na niebie, kiedy 5 grudnia dotarliśmy do miejsca, gdzie według Eskimosów miał zamieszkiwać wcześniej wspomniany biały człowiek. Tuż przy ujściu małej zatoczki, za wysokimi lodowymi spiętrzeniami, dostrzegliśmy ciemny, niepozorny budynek otoczony całą kolonią igloo. Okazał się on najdalej położonym przedstawicielstwem słynnej Kompanii Zatoki Hudsona, jednej z najstarszych i największych kompanii handlowych na świecie. Skręciliśmy na drogę wyrąbaną w stromym moście lodowym i zajęchaliśmy przed sam dom. Jeszcze nie wyhamowaliśmy, a już drzwi rozwarły się na oścież i stanął w nich zarządca stacji, kapitan Cleveland, zupełnie jakby od dawna wyczekiwał naszego przyjazdu. Zgotował nam prawdziwie serdeczne powitanie. Wiekowy kapitan okazał się równie szybkim, co znakomitym kucharzem i ledwo zdążyliśmy oporządzić sanie i nakarmić psy, a on już prowadził nas do środka ze słowami, że wszystko czeka naszykowane. Mesę



Therkel Mathiassen,  
archeolog i geograf



Kaj Birket-Smith,  
etnograf i geograf



Peter Freuchen,  
przyrodnik i kartograf



Helge Bangsted,  
asystent naukowy

wypełniał długi, szeroki stół uginający się od świeżych soczystych befsztyków z renifera, przyozdobionych najróżniejszymi odmianami ugotowanych suszonych owoców kalifornijskich.

George Washington Cleveland był wielorybnikiem, którego trzydzieści lat wcześniej los rzucił na to wybrzeże. Ponieważ tak dobrze mieszkało mu się wśród Eskimosów, nigdy nie zdecydował się na powrót w rodzinne strony. Mimo to czuł się w dużo większym stopniu Amerykaninem, niż można by tego oczekiwać od człowieka żyjącego w tak wielkim odosobnieniu. Prawie natychmiast zaczął się przechwalać, że urodził się na tym samym wybrzeżu, do którego w swoim czasie dobił „Mayflower” z pierwszymi emigrantami z Anglii. Jego życie obfitowało w najróżniejsze przygody, o których opowiadał z niezwykłą fantazją. W zupełnie przypadkowej kolejności przedstawił nam wszystkie możliwe przejścia, jakie tylko mogły stać się udziałem tak starego pioniera jak on, i z tego wynikało, że ani katastrofa statku, ani głód, nieszczęścia czy przeciwności losu nie zdołały pozbawić go dobrego humoru.

Wciąż wiedzieliśmy bardzo niewiele na temat warunków panujących na odległych terenach arktycznej Kanady, ale podczas tej wizyty uzyskaliśmy mnóstwo informacji, które później bardzo się nam przydały. Dowiedzieliśmy się między innymi, że jeden ze szkunerów należących do Kompanii Zatoki Hudsona, dowodzony przez francuskojęzycznego Kanadyjczyka kapitana Jeana Berthie, zimował w okolicach Zatoki Wagera, w odległości pięciu dni jazdy na południe. Skoro istniała możliwość nadania zimą poczty do domu, postanowiliśmy natych-



Faktoria Kompanii Zatoki Hudsona w Chesterfield. W oddali katolicki kościół, z którego prowadził swoją misję apostoł Eskimosów, ojciec Turquetil. Faktorię założono w 1912 roku i stanowi ona obecnie centrum handlu na obszarze między Iglulik i Barren Grounds.

miast, że Freuchen uda się w dalszą podróż, aby zasięgnąć na ten temat informacji.

Na tej szerokości geograficznej goście nie pojawiali się codziennie, dlatego kapitan Cleveland zapragnął uczcić nasze przybycie tańcami. Z tej okazji rozdano wszystkim kobietom pstrokatą bawełnianą tkaninę, z której w wielkim pośpiechu uszyły sobie suknie balowe. Pośrodku głównej izby kapitana Clevelanda stał bowiem wielki, gorący piec kafłowy o osobliwym kształcie pucharu przypominającego rozżarzony do

czerwoności kwiat maku. Buchał z niego tak wielki żar, że kobiety w swoich ciepłych skórzanych strojach nie byłyby w stanie uczestniczyć w pługach. Ten wieczór stał się dla nas niezapomnianym przeżyciem. Kiedy zabrzmiał gramofon, którego trzeszczące dźwięki praktycznie zawsze towarzyszą białemu człowiekowi w podróżach, Cleveland mimo swoich sześćdziesięciu lat rzucił się w wir zabawy, przyjmując rolę wodzireja w tańcach wielorybników, a Eskimosi pod jego okiem opanowali kroki w sposób doskonały. Późną nocą, gdy tańce z figurami i ciepło bijące od pieca całkowicie nas rozłożyły, przenieśliśmy się do igloo, którego przyjemny chłód przywrócił nas do życia. Byliśmy niezwykle ciekawi kraju i zamieszkujących go ludzi, nasza rozmowa postępowała jednak bardzo powoli, ponieważ nie znaliśmy miejscowych nazw i musieliśmy posługiwać się określeniami ze starych angielskich map – do momentu, aż otrzymaliśmy niespodziewane wsparcie.

Stary mężczyzna o długiej siwej brodzie i czerwonych przewianych wiatrem oczach ujawnił się nagle jako geograf całego plemienia. Wyciągnęliśmy papier i ołówek, a ten „dzikus” ku mojemu niepomiernemu zdumieniu bez wahania naszkicował linię wybrzeża o długości kilkuset mil, na odcinku od zatoki Repulse aż do Ziemi Baffina. Doznałem przedziwnego uczucia. Większość nazw, które zapisywałem – na przykład *na-jârmiut*, *pitorqermiut*, *iviangernat* – była identyczna z używanymi w moich rodzinnych stronach na Grenlandii i mimo że przebywałem w obcym kraju, brzmiały one dla mnie znajomo.

Czułem się niczym kopenhazażanin rozmawiający o Charlottenlundzie, Klampenborgu czy Skodsborgu.

Nie miałem wątpliwości, że w tym miejscu czekało mnie wiele innych przeżyć, więc aby samemu je zainicjować, opowiedziałem kilka starych grenlandzkich legend. Okazało się, że wszyscy je tu znali i nie posiadali się ze zdumienia, że jakiś obcy, który dopiero co przybył do ich osiedla, bez namysłu potrafi je wyrecytować. Zdziwienie było tak wielkie, że igloo w mig zapełniło się ludźmi. Stary rysownik map, Ivaluardjuk, usadowił się obok mnie. Temat legend i starych pieśni wyjątkowo go pochłaniał. Ze swą długą brodą sam wyglądał jak postać z tych historii, a jego spokojny, ciepły głos brzmiał jak melodia opowieści. Był wśród zgromadzonych najstarszy, należał do najbardziej wiekowych członków plemienia. Kiedy zabierał głos, pozostali milkli. Opowiadał o swoim życiu i o starości. Od dawna już powinien żyć samotnie, właściwie od momentu, gdy wiele lat temu zmarła jego pierwsza żona – stał się wtedy wdowcem, którego nikt specjalnie nie považał. Ożenił się jednak z przybraną córką i kupił sobie dziecko za jednego z posiadanych psów. W taki sposób tujejsi potrafili dopomóc sobie w życiu i uczynić swój los znośniejszym.

Zebrani namawiali go, aby zaśpiewał, a on nie dał się długo prosić. Usiadł nieco głębiej na legowisku, a jego młoda żona czystym głosem rozpoczęła pieśń. Od razu dołączyły do niej pozostałe kobiety, których monotonny śpiew, to wznoszący się aż do okrzyku, to zniżający do cichego szeptu, niósł re-



cytowaną przez Ivaluardjuka pieśń ułożoną przez niego jako wspomnienie młodości:

Komary i zimno, te plagi nigdy nie chadzają razem.  
Kładę się tutaj na lodzie, kładę się na śniegu i lodzie,  
a moje zęby szcękają.  
To jestem ja, aja – aja – ja.

Czy to wspomnienia z czasów,  
Z czasów, gdy bzyczą komary,  
Z czasów, gdy zimno pęta ruch, czyni myśl otępiałą,  
Podczas gdy wyciągam kończyny na lodzie –  
To jestem ja, aja – aja – ja.

Aj! Lecz pieśni mają własną siłę, a ja szukam słów.  
Aj! Szukam i patrzę, o czym tu zaśpiewać.  
Ren o szerokim porożu!  
Z całej siły cisnąłem oszczep miotaczem  
i broń przeszła wklęsłość miednicy,  
trząśł się z powodu rany, aż osunął się i znieruchomiał.

Aj! Lecz pieśni mają własną siłę, a ja szukam słów.  
Oto pieśń, oto wspomnienie.  
I śpiewam tylko ja.

W taki sposób przebiegło nasze pierwsze spotkanie z ludźmi. Zaledwie po jednym dniu postoj, 7 grudnia, po-

żegnaliśmy z „Bosmanem” naszych nowych przyjaciół, podczas gdy Freuchen według wcześniejszych ustaleń udał się do Zatoki Wagera. W drodze powrotnej w pobliżu zatoki Haviland napotkaliśmy stare ślady po saniach i postanowiliśmy za nimi podążyć, z nadzieją spotkania kolejnych nowych ludzi.